



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowiny z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D.E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Rs. Poznańskim: u Leitgebers i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

OD WYDAWCY.

Z dzisiejszym numerem „Bluszcza“ rozpoczynamy na osobnym Dodatku druk powieści *Wenera* pod tytułem:

Zerwane Więzy.

Nowi prenumeratorowie otrzymają z Nr 1 roku przyszłego prócz zwykłego Dodatku do numeru należącego, Dodatek z Nr 52 r. b. obejmujący początek powieści.

NAJPIĘKNIEJSZE PIOSNKI.

Najpiękniejszych moich piosnek
Nauczyła mnie dziewczeczka,
Mistrzem bowiem były dla mnie
Harmonijne jej usteczka.

Te usteczka brzmiały zawsze
Jakąś piosnkę świeżą, nową,

Każdy uśmiech był melodyą
Śpiewem było każde słowo.

Wszystko, o czem serce śniło,
Wszystko, o czem nawet nie śni
Odbijało się w jej oczach
I płynęło w słodkiej pieśni.

Więc mnie zawsze przy jej boku,
Wpatrzonemu w jej oblicze
Kołysały śpiewne mary
Czarodziejskich brzmień słodycze.

Czegom uchem nie dosłyszał,
Czegom wzrokiem nie doczytał,
Tom z usteczek koralowych
Sam ustami swemi chwycił.

El-y.

STANOWISKO JERZEGO ELIOT

w obec kwestyi kobiecej.

Romans, powieść zajmowała zawsze w literaturze angielskiej miejsce bardzo ważne, wiążąc się ze

społeczeństwem swoim jakgdyby żywą nicią myśl i uczucia. Przez takie zjednoczenie się powieść angielska była po wszystkie czasy narodową i patriotyczną, była wiernym odbiciem angielskiego ducha i opierała się przeważnie na tem, co w danej chwili stanowiło ideę angielską. Silny ten węzeł pisarza z ogółem, to czuwanie w nim duszy narodowej sprawiało, że powieść angielska miała cechy sobie właściwe, oryginalne, wytwarzające w literaturze szkołę. Indywidualny geniusz pisarza wynikał niejako z narodowego angielskiego gieniuszu i oblekał w ciało artystycznej kreacji promienie bijące z ducha ogółu. Coś podobnego działo się w średniowiecznych Włoszech ze sztuką plastyczną, i ztąd tak gorące zajęcie się społeczeństwem utworami artystycznymi, w których przyjmująca je publiczność odnajdywała swój ideał życia: pewien wzór dla pojęć o pięknie i dobru, filozofię rządzącą sumieniem ogólnem myśli etycznej. Kiedy naprzykład po drugiej stronie kanału La Manche rewolucya, wstrząsająca społeczeństwem francuzkiem, rozrzucała na cztery wiatry prochy wydobyte z grobowców Saint Denis, protest jaki patriotyzm Wielkiej Brytanii założył przeciw takiemu kierunkowi nowej idei, znalazł sobie przedstawiciela w Walter Skocie i oto romans historyczny wykwił niejako z wnętrzości angielskiego narodu, odziany całym świetnym blaskiem poezyi rycerskiej, całym serdecznym porywem wielkiego uczucia, które mu dało początek. Cały kraj czytał Walter Skotta: kobiety, dzieci, myśliciele i mężowie stanu, bo cały kraj, cała Anglia czuła i kochała w nim wyraz najdroższych, najświętszych swych przekonań, wzruszała się słodko obrazami, które malował, lgnęła miłośnie do postaci, jakie wskrzeszał, nawet w krajobrazach kreślonych z rozkochaniem syna, przedstawiającego rysy oblicza matki, angielski czytelnik znajdować musiał coś chwytającego mu serce silniej niż samo wrażenie efektu artystycznego. To też osoba pisarza dzieliła z dziełami jego to przywiązanie narodowe, zajmowało się nim samym i jego losem, a gdy ciosy niespo-

dziewanej niedoli uderzyły nagle w głowę jego szlachetną, gdy nieszczęście wyczerpało przed czasem siły jego żywotne. kraj poczuł się względem romansopisarza do obowiązku wdzięczności i pomocy takiej, jaką jest winien ludziom zasługi publicznej i oto statek rządowy, oddany na usługi chorego, powiózł go pod łagodniejsze niebo Włoch.

Obok romansu historycznego, Anglia wytworzyła podobnie powieść rodzinną, powieść domowego ogniska, domowego pożycia — *home life* — która stała się epopeją społeczeństw demokratycznych — epopeją życia powszedniego. Cztery ściany domu, czy to jest pałac, chata wieśniaka, czy nędzne izdebka miejskiego robotnika, stały się jej sceną, a osobistość ludzka stała się jako przedmiot dla sztuki, dla pióra pisarza, w tych swoich dotąd skrytych, lub zaledwie dających się domyślać uczuciach osobistych, codziennych, które składają się przecież na wewnętrzną historię człowieka, tworzą dzieje jego moralnej istoty. W romansie historycznym, społecznym, ukazuje się nam jedna dopiero połowa obliczu ludzkiego, druga — długo zostająca w cieniu — odsłoniła się z kolei. Biorąc może swój początek w baladzie ludowej, powieść życia domowego zaczyna się w Anglii od Henryka Fieldinga, ale w ostatnich dopiero czasach, wykształciła się ostatecznie — ugruntowała na podstawach szerszych. Anglia handlująca, kupująca na wszystkich targach świata, zapragnęła uchować sobie w piersiach iskrę ciepła przez uczucia rodzinne, zapragnęła może zarazem, aby człowiek chwytany przez wir spraw społecznych, miał swój odpoczynek, swoją słodką uchronę pod cieniem dachu rodzinnego i ten moralny ideał Anglika, odbił się w rozwoju twórczości literackiej. Dickens był w tym rodzaju malarzem wielkich ognisk nowoczesnego życia, był pisarzem Londynu i dużych miast fabrycznych, malując na tem tle miejskiem boleści i rozkosze, cnoty i zbrodnie wielkiego mrowia ludzi, budząc przez szerokość swego talentu sympatyę i zyskując uznanie nietylko angielskiego czytelnika, ale publiczności całego cywilizowanego świata, która powieści jego przyswajała sobie w przekładach. — Znakomitym malarzem drugiego działu angielskiego życia: gminy wiejskiej z jej pańskim dworem i dworkiem, domkiem, chatą; malarzem małego miasta i miasteczka które jest wsią także, choć ma rynek i ulicę brukowane, jest obecnie pisarz nie niższego, choć zupełnie różnego niż Dickens talentu — kobieta, pisząca pod mężkim pseudonimem Jerzego Eliot, niegdyś miss Evans, a obecnie mistress Lewis, żona filozofa i sama w wysokim stopniu naukowo wykształcona, filozoficznym wzrokiem myślicielki przenikająca to życie powszednie, którego dzieje kreśli. Talent ten wielki, bardzo oryginalny i silny, niemający w sobie nic z humorystyki Dickensa, lub Thackeraya, angielskiej humorystyki w ogóle, lecz łączącej z wysokim nastrojem myśli dziwnie poważny spokój obiektywny, rzadką jedność myśli i stylu, długo zwodził mężką maską swoją a nawet po odchyleniu zasłony z trudnością dozwalał uwierzyć, że dzieła jego są utworami kobiety. Pierwsza powieść Jerzego Eliot: *Sceny z życia klerykałnego*, już obudziła zajęcie, spotęgowane przecież natychmiast w interes bardzo żywy za ukazaniem się *Adama Bede*, bo tu już nie była to zapowiedź wyrabiającego się talentu, ale talentu tego obietnica ziszczona, dzieło uderzające, które zwróciło na autora uwagę nietylko angielskiej, ale przez rozbiór zamieszczony w *Revue des deux mondes*, europejskiej publiczności. W szybko po sobie następującej kolei; bo w przeciągu jednego dziesięciolecia, ukazały się: *The Mill on the Floss* (Młyn na rzece Floss) *Silas Marner*, *Rumola*, *Feliks Holt*, wreszcie *Middlemarch*, studium życia prowincjalnego, utwór już największy tak przez objętość, jak znaczenie i rozgłos pozyskany. *Middlemarch* tłumaczone na wszystkie języki, literaturę posiadające, zajmowało w polskim przekładzie dodatek piśmie naszego przez rok cały, a myśli, które znakomita ta powieść rozwijała w ciągu ośmiu ksiąg swoich, dotyczą tak ważnych zagadnień moralności rodzinnej i kierunku, jaki w obecnej chwili przełomu w wyobrażeniach o kobiecie, kobieta ta obrać może, że redakcyja, nieużywany może nigdy dotąd sposobem zapowiedziała czytelnikom swoim pewien krytyczny przegląd powieści drukowanej w swoich szpaltach, pewną rozprawę z jej autorką na polu nie literackiej ale etycznej krytyki. Jerzy Eliot, a raczej

mówiąc jaśniej, mistress Lewis, jest przecież pisarką wyjątkowego znaczenia, talent jej w literackiej sferze kobiecej ma na równi z sobą tylko Gabryelę (Narcyze Zmiechowską) i Sand, zjad też wyjątkowo traktowanym być może i powinien. Jak kobieta tak wysokiego, tak głębokiego umysłu zapatruje się na kwestyę kobiecą, na stanowisko kobiety wśród społeczeństwa? jest rzeczą razem ciekawą i pouczającą. Powieść, którą tylko co czytelnicy Bluszcza czytać skończyli, choć nosi ogólny tytuł studyów życia prowincjalnego, jest przecież głównie studowaniem podwójnego działania tych przedewszystkiem wpływów, którym kobieta ulega i które sama wywiera, trzeba nam zatem zbadać, czy bystre, postarzewsze oko piszącej nie błądzi w poglądach swoich, czy zapatruje się na przedmiot studyowany z właściwego punktu widzenia?

W przedmowie już kwestyja społecznego stanowiska kobiety postawiona się być zdaje na gruncie najdrażliwiej spornym. — Dawniej — pisze autorka angielska — gdy wśród tłumu zwyczajnych, pospolitych kobiet znalazła się jedna z umysłem wyższym, z sercem gorętszem, z porywami szlachetniejszymi, kobieta pragnąca znaleźć sobie koło działalności innej, jak ciasne szranki powszedniości, miała przed sobą choć klasztor, gdzie duch jej wznoszący się ku górze na skrzydłach modlitwy, znajdował ujście dla przenikającego pierś zapału, a uczucie ofiary przebiegalnej, którą się sama stawała, było zaspokojeniem serca pełnego szlachetnej miłości dla ogółu. Dziś przecież jak kobieta takiej wyższej organizacyi duchowej ma postawić się wśród życia, aby nie zabić w sobie albo umysłu, albo serca — aby osiągnąć szczęście? Dora, bohaterka powieści jest taką właśnie i dzieje jej są długim pasmem nieświadomie błędzących kroków, walk z sobą samą i inymi, bolesnych zawodów i ciężkiego uczucia bezsilności, przez to jedynie, że się urodziła kobietą. Mężczyzna tak szlachetnego usposobienia byłby najprzód został zapatrzony przez wychowanie w inną naukę, w inną wiedzę o ludziach i rzeczach ludzkich, potem nie byłby go otaczał do koła mur konwencyonalności towarzyskiej, mur tych stosunków rodzinnych, z którymi kobieta, chcąc działać swobodnie, zerwać by musiała rozdzielać sobie na wskroś serce, podczas, gdy mężczyzna może pójść spokojnie obranym torem, nie szarpiać tych węzłów, które nie pragną go kępować, choć zadziergają się koło jego serca. Jedynym dziś sposobem wyzwolenia się kobiety jest małżeństwo, ale jak potrafi zrobić wybór ta, która sięga przez tajemne ducha swego pożądaniami dalej, niż otaczające ją koło? Pragnie znaleźć jakąś wyższość, aby uciepiwszy się jej jako podpory naturalnej, podnieść się za jej pomocą i współdziałaniem. Czy potrafi jednak wyższość prawdziwą poznać, ta niewiadoma niczego, choć przeczuwająca wszystko? Czy przytem wyższość prawdziwą zechce ją przysparzać do siebie, aby podać jej dłoń pomocną do duchowego wniebowstąpienia?

Dora myli się straszliwie i cierpi okrutnie. Małżeństwo niedobre staje się nieszczęściem i niewolą najboleśniejszą, bo niewolą obowiązku, którego targać się nie godzi. Mogło być stać się nawet grzechem i upadkiem bardzo niskim, gdyby duch razem silny i czysty nie mieszkał w piersi szlachetnej. Omyliła się w poszukiwaniu wyższości, ta zaś wyższość prawdziwa, która była zdolna dać jej szczęście, przeszła mimo niej niemal wzgardliwie. Młodzieniec, odpowiedniej Dorze natury, Oktawiusz Lydgate, w pięknej, inteligentnej lecz chciwej wiedzy pannie widział jedynie jakąś istotę nienaturalną, wykojoną z kobiecości, iż tej przyczyny nie była już biedna zdolną pociągnąć go do siebie. Jestto mężki bohater powieści i ma też duszę pełną zapału i chęci wzniosłych, ma przytem swobodę czynu, ma środki działania zapewnione i wstępuje w swój zawód z tym zapasem bogatym. Nizkie życie małego miasta płącze się koło nóg jego i opęta je usiłuje, ale on jest dumny i śmiały, zdecydowany na ofiary i walkę. Czy zwycięży przecież, czy przeprowadzi piękne plany swoje? oto drugie zagadnienie powieści, które chwytą uwagę czytelnika. Lydgate przedstawia piękny typ mężki, godny stanąć obok Dory, idła tego interes czytelnika dzieli się i zarówno niepokoi o rozwiązanie obu tych kwestyi, o rozegranie się tych dwóch dramatów mężkiego i kobiecego szczęścia. Lydgate młody jest i gorącego serca, więc w naturalnym rzeczy rozwoju musiała

drogę jego zastąpić miłość. Ale on powinien być już dobrze życia świadomy, on któremu dano wszystko, co do znajomości takiej prowadzi. Tak mądry tak szlachetny, tak pięknie i podniosło na świat patrzący, czyż nie zdoła upatrzeć istoty sobie równej, godnej jego serca i tej miłości wyższej, jaką jedynie dać może i jakiej w zamian potrzebuje, aby został szczęśliwym?

Spotkał na drodze swojej piękną dziewczynę mrodołą i jasnowłosą jak Ewa w raju. Miała ponętne Ewy spojrzenie, przedstawiła się jak kwiat eudowny, wydała się słodką jak dźwięk muzyki łagodnej. — Taką — o! taką być powinna kobieta! — zawołał uniesiony. — Powinna mieć coś z natury kwiatu, coś z natury melodyjnego śpiewu, być w życiu jakąś wonią i tonem słodkim — być życia mężkiego rozkoszą i ozdobą! W czasie tych rozumowań i marzeń w pół dopiero miłosnych, kobieta kwiat, kobieta muzyka, rozwinięta upartą wolę, zręczną przebiegłość i losy ich się złączyły, aby życie jego zostało skrepowaniem przez bezmyślność, skutem z małodusznością, ściąganiem w dół przez istotę niezdolną do przebywania na wysokościach.

Zatem nastąpiły dwie omyłki i dwie drogi życia ludzkiego poszły błędnym manowcem, dwa istnienia zostały zwiecznione. Autorka ulitowała się przecież Dory; biednej, nieświadomej życia Dory, która poszła bezwiednie torem fałszywym. Śmierć samolubnego starca rozwiązała jej kajdany, miłość szlachetnego człowieka, odważnie zdobyta przez silną i rozumną kobietę, dała jej zakosztować cichego, prawdziwego szczęścia, dała jej ziścić piękne rojenia młodzieńcze. Uszczęśliwiała kochając, działała podpierając miłością swoją wyższą, obywatelską działalność ukochanego. Nie poszła jak druga św. Teresa reformować klasztoru, ale w doskonale uorganizowanej rodzinie była taką jednostką społeczną, która odpowiedziała święcie swemu zadaniu, spełniła dobrze pracę życia, dokonała jego obowiązków. Losy ludzkości, losy społeczeństw nie opierają się bynajmniej na pewnych osobistościach genialnie wielkich, na bohaterach i bohaterkach. Przeważa jej szeroką drogą przeznaczenia wielki ruch mas, złożony z ruchu tysięcy jednostek i żadna działalność pojedyncza nie ginie bez skutku, bez śladu. I kobieta zatem znajdzie zawsze ujście dla szlachetnych pragnień i porywów ducha swego, potrzeba tylko aby dostała:

u wstępu do życia rozumne życie pojęcie, naukę która to podpira, wiedzę, która odmykając przed wzrokiem jej umysłu horyzonty szerokie, ale prawdziwe, nie ciska jej przed oczy majaków mglistych.

trzeba, aby rodzina i towarzystwo uwzględniły w kobiecie wyższe potrzeby wyższego ducha, tak jak je uwzględniają w mężczyźnie, aby dla wszystkich kobiet nie miano jednej miary jedynie, nie chciano trzymać wszystkich na poziomie jednym. Kobiecość nie może stanowić jednej, ogólnej formy życia, nie jest jednym stanem ducha, bo kobieta to nie kwiat, nie ton wibrujący bezwiednie — to człowiek.

trzeba wreszcie, aby kobieta wyższa mogła zostać pokochaną przez wyższego mężczyznę — aby jej umysłowość, jej duchowość wzniosłej podniesiona, nie stawała jej na drodze do szczęścia serdecznego.

Tego zatem potrzebuje kobieta do doskonałego istoty swej rozwoju, bo wtedy nawet, gdy wybiega sercem i umysłem nad powszedniość, nad pospolitość, nad mierność tłumu dołem skupionego, może nie osiągnąć nie tylko szczęścia, ale żadnego z postawionych przez sobą celów szlachetnych, jeżeli jak było i jest dotąd, mężczyzna nie nauczy się jej rozumieć i pojmować, społeczeństwo nie nauczy się widzieć w niej istoty, która myśli, czuje, ma i powinna mieć jakiś charakter, wolę — jakiegoś ducha.

To dla niej, dla kobiety — lecz co dla niego, dla mężczyzny? Dr. Lydgate nie w życiu nie zdołał dokonać, nie uratować, bo nie posiadał szczęścia osobistego, choć wyrzec się musiał wszystkich pięknych, wszystkich podniosłych ideałów, po które sięgał wstępując w życie. Rozbił się więc pierśnią o życie, o społeczeństwo i kaleka duchowy dowlekl się ledwo do pierwszego przydrożnego kamienia, aby umrzeć przed czasem...

Bolesny, aż okrutny obraz! ale tylko pozór rzeczy prowadzi niedość uważnego czytelnika do wniosków wyżej postawionych. Lydgate, człowiek wyższy, wyskoczył z kolei swego przeznaczenia i upadł nę-

dznie, rozbiwszy się o małą kobietę. Była to kula u jego nogi, balast nędzoty, poziomuści, pospolitości lichy i egoistycznej przywiązany do jego skrzydeł— była to Nemezis okrutna, mszcząca się strasznie za błąd fałszywego pojęcia kobiety, rodziny, małżeństwa. Ta, którą wziął sobie na towarzyszkę życia, ten kwiat, ta muzyka, istota ztąd mająca być samą i niezmierną życia jego rozkoszą, ozdobą i wypoczynkiem, że umysł jej nie sięgał i nie chciał nigdy sięgać w dziedzinę, gdzie toczą się walki duchów ludzkich, gdzie znój perli czoła męskie, piękna Rozamunda, umiejająca wyginać jak łabędź szyjkę białą, kochała go nawet niegdys, u początku ich stosunku, póki piękny młodzieniec przedstawiał się jako romans i upragnione małżeństwo, ale przestała kochać, gdy jej kazał iść pod wysoką górę życia, przestała kochać najpierw dla tego, że była istotą niższą, niezdolną do miłości opartej na ofierze, powtóre dla tego że nie mogąc rozumieć w mężu człowieka, zaczęła wyobrażać sobie, że to jej się dzieje przez niego krzywda, że dziwak bez serca nie daje jej szczęścia, na jakie liczyła, a jakie on zdawał się jej przyrzekać.

Dziwnie dramatyczny patos napełnia tragiczną jakąś atmosferą cały ten stosunek małżeński. Błąd popełniony przez jeden krok, uczyniony z fałszywego punktu wyjścia, jest ziarnem nieszczęścia, zawodów i upadków, na które już się składają z konieczności tak wady jak cnoty działających charakterów. Moralna konsenkwenca rzeczy jest tu tak przerażająca jak ślepe Fatum i przenika niemal zgrozą. Biada! biada! biada! możnaby wołać jak chór grecki, bo czytelnik czuje, że nieszczęsny człowiek próżno zabiega, ratuje się, wypręża. Mała, nędzna, słaba w porównaniu istota, z którą się związał, skrzyżuje dla swoich planów jego plany, porwie nici ratunku, wtrąci się nagle przeszkodą wszystko udaremniającą, aż mąż zabity na duchu, powie kiedyś z goryczą żonie swej pięknej, że jest kwiatem, który na grobie zamordowanego człowieka wyrósł z jego mózgu!

Wielu, nawet pierwszorzędnym krytyków, głównie przecież francuzkich, myliło się w sądzie swoim o Jerzemu Eliot, dla tej właśnie żelaznej logiki, z jaką autorka przeprowadza postacie swoje. Posadzono powieściopisarkę angielską o filozofię pozytywną, o zaprzeczenie odpowiedzialności duchowej, o negację wolnej woli i pochłaniający wpływ otoczenia. Kto przecież umie być uważnym jej czytelnikiem, kto głównie postawi tak kwestję, jak ją postawić trzeba, kto zrozumie, że zasadniczą myślą jej powieści jest to zagadnienie: czym kobieta, rodzina, małżeństwo powinno być w społeczeństwie, ten od razu uchyli swe zarzuty. Silna religijność pisarki angielskiej, jużby zarzutu tego dopuścić nie była powinna, uczynili go też tylko sędziowie powierzchowni i płytki. Upadek głównego bohatera, to wielka przestroga i wielka rada: człowiek nie może istnieć bez rodziny, bez miłości, bez życia serdecznego, ale tylko szczęśliwa, mądra, równa mu w godności duchowej rodzina, da mu się wyrobić na mocnego, dzielnego, zwycięzko kroczącego pracownika w społeczeństwie. Inaczej to, co miało być odpoczynkiem, będzie walką, co miało być rozkoszą stanie się goryczą—aż zmęczony, obciążony brzemieniem podwójnym, padnie w pół drogi.

Takie pojęcie małżeństwa, miłości, takie zadanie, aby mężczyzna uznał konieczność równości duchowej kobiety, z którą się łączy sercem, takie wreszcie wołanie dla kobiety o światło, o naukę, o wyrobienie inteligencji, jakie mężczyzna dostaje od rodziny na wyposażenie do życia, jest zasadniczą myślą Jerzego Eliot. Maggie Tuliwer w *Mill on the Floss* to taka sama jak Dora Brooke dusza wyższa i błędzaca dlatego, że staje do życia bezbronna, że jest bezbronna przeciw porywom górnym swego własnego ducha, że walczy z nim jak Jakub z aniołem, i nie mogąc ani tego anioła w sobie zabić, ani z nim współdziałać szlachetnie, bo jest dróg i środków i sposobów tej działalności nieświadoma, staje się nieszczęśliwą i unieszczęśliwiająca innych.

W *Rumoli* sama ta Rumola jest podobną choć innego rodzaju ofiarą boleśnie upokorzonego stanowiska, jakie mężczyzna wyznacza kobiecie w małżeństwie, zawartem na samolubnych a fałszywie przez niego pojętych warunkach. Tytus Grek, żeni się z piękną Włoszką, którą pokochał nie pytając się, jak względnie do siebie może się postawić ich istota moralna—i znowu dramat straszny. On jest

nikczemny, on zdradza to wszystko co ona czci i kocha, dla czego gotowa jest zawsze wydać na ofiarę szczęście swe osobiste, a co najgorzej nieszczęśliwa żona pojmuje to i rozumie. Więc sąd wydaje i jej straszny wyrwa się z jej piersi, ale ta istota wyższa, ma przecież,—jak wszystkie wyższe kobiety Jerzego Eliot—serce tkliwe i kochające, prawdziwe serce kobiece, więc czuje litość nad upadłym, czuje litość wynikającą z miłości, która jeszcze kryje się gdzieś w głębi jej serca, ma wreszcie głębokie poczucie obowiązku małżeńskiego i chce dźwigać, ratować, podnieść upadłego. Ale darmo! on już nie kocha, bo poczuł się odgadniętym i zrozumianym, tak jak Edward Casaubon przestał kochać a zaczął nienawidzić Dorę dla tej samej przyczyny. Jest przecież obok zdradliwego Greka istotka kobieca dobra, ale maluczka, więc zdolna, aby być niewidomą, biedną, oszukiwaną dziewczyną z ludu. Ta kocha ślepo i dla tego zostaje kochaną aż do końca miłością taką, jakiej mąż niewierny nie mógł dać pojmującej go Rumoli.

Więc mężczyzna dla własnych egoistycznych potrzeb pragnie moralnej, intelektualnej ciemnoty w kobiecie, ale może tego pragnąć tylko niecy, jak Tytus renegat; tylko małoduszny jak zaschły w papierach Casaubon, ale mąż szlachetny jak Oktawiusz Lydgate, jak Wiliam Władysław, dla czego by miał żądać, dla czego miałby potrzebować tego?

To wołanie Jerzego Eliot, aby społeczeństwo, którego rozwój, postęp, szczęście oparte jest na dobrej, rozumnej, szczęśliwej rodzinie, równouprawniło ducha mężczyzny i kobiety, niech przecież nie wprowadzi znów kogoś w błąd złego rzeczy pojęcia. Angielka nie żąda dla kobiety wyższej, której praw broni, jednakowej, choć chce równej z mężczyzną działalności i Dory, gdy była już wolną a razem silną, świadomą życia, zdolną do bardzo podniosłej pracy duchowej, nie rzuca w żaden wir ścierających się z sobą walk stronnicych, które w tej chwili spierały się w Anglii o reformy parlamentarne. Nie, nie wprowadza jej naprzykład w ruch wyborczy, nie każe jej pukać do drzwi parlamentu. Wchodzi tam tylko jej mąż Władysław, człowiek uszczęśliwiany, wzmacniany, zasilany miłością kobiety szlachetnej i rozumnej zarazem, a Dora ani się czuje uposledzoną, ani pragnie innej działalności, innego stanowiska społecznego. Istota jej silna i wrząca falami dzielnego ducha jak ta rzeka Graniku, z którą musiał walczyć Aleksander Macedoński, znalazła sobie ujście, aby płynąć bezimiennem, ale nie mniej pożytecznym dla ludzkości łożyskiem. Stała się dobrą pomocą życiową szlachetnego mężczyzny, była matką chowającą Anglii trzech synów i dobrze jej z tem było. Dobrze jej było przecież wtedy dopiero, gdy pojęta, zrozumiana, stająca w życiu jako równa obok równego jej człowieka nie została skazaną na rolę nędzną cacka, któremby dla zapomnienia trosk bawił się zmęczony, karmelka, którym by ocukrzył sobie gorycze życia. Wszakże i ona, tylko że inaczej, otarła znój perlący się na ukochanym jej czole, i ona, ale w sposób inny, stała się słodczą w czarze jego doli.

Takiego przeznaczenia pragnie dla kobiety Jerzy Eliot i godzi się z nią w tym punkcie redakcyja Bluszcza—godzi się i w tym również, że dla tego wiele kobiet wyższych upadło, zwichnęło się i nie ziściło nadziei, które względem nich miano, że rodzina i towarzystwo—mężczyzna, nie chciał uznać godności ich wyższego, a nie mniej przez serce i uczucie kobiecego ducha. Lecz Jerzy Eliot nie rozgrzesza bynajmniej tych nieszczęsnych z odpowiedzialności za ich upadki, bo wszystkie jej wyższe postacie kobiet, Rumola, Dora, Maggie Tuliwer, zostają zawsze nieskalanymi istotami. Głos goryczy, który podnosi w sprawie upadłej, zwróconym jest do społeczeństwa, a nie do niej. Do niej mówi:—Cierp ale dźwigaj się i toruj sobie prostą drogę... Jeżeli wyższa nie godzi ci się upaść właśnie... Możesz jak biedna Maggie stać się nieużyteczną ofiarą wśród prądu fal rozhułanych, możesz jak Rumola Florentynka zapisać się do bractwa pokutników i towarzyszyć Savonaroli do łoża i grobu zapowietrzonych, ale nie godzi ci się upaść, bo właśnie staniesz się wtedy małą. Ktoby był temu winien po części, to jego grzech... Ty masz garnąć sobie własną swą zasługą i to twoja cnota.

Redakcyja Bluszcza godzi się z Jerzym Eliot na

jedno jeszcze przekonanie, że kobiecość—jak tego dowodzi przez Dorę i Rozamundę—to bynajmniej nie słodka minka, nie konwencyonalna niby łagodność słów doborowych, nie nicość myśli, nie małość uczuć, ale wielka i niezmierzona nieczem siła kochania, poświęcenia się i ofiary dla przedmiotu drogiego, niemożność wyparcia go się i opuszczenia. Kobiecością jest taka miłość, jak Dory Brooke, która odda bez żalu blask światowy, majątek, stanowisko towarzyskie, a pójdzie za ukochanym na pracę, na ubóstwo, na twardy bruk, po którym—wysiadłszy na zawsze z karety—pieszo chodzić trzeba. Wytrwałość, głębokość, ofiarnosć w uczuciu—to jest kobiecość w szlachetnym słowa tego znaczeniu.

Autorka Middlemarch jest nie tylko powieściopisarką, ale i poetką. Czytelniczki Bluszcza potrzebują ją poznać i w tym jeszcze charakterze, dlatego też wróć jeszcze do niej—wróć zawsze, ilekroć ukaże się nowy utwór tego znakomitego kobiecego pióra, i Bluszcza poda zawsze rozbiór każdego dzieła mistress Lewis.

M. Ilnicka.

HISTORIA O JANASZU KORCZAKU I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dokończenie).

Na wyprawę tegoroczną Miecznik się już wybrać nie mógł; niewola dała mu się we znaki na zdrowiu—król go od wyprawy uwolnił. W Mierzejewicach jak nigdy smutno było i pusto.

Podróż do Lublina nie pomogła nie Jadzi i o małe nie zaszkoziła jeszcze, gdyż zapragnęła była zostać przy Matce Anieli i ledwie łzy matki to postanowienie skruszyły.

Czego nigdy nie bywało, małżeństwo najgłodniejsze w świecie, małżonek najposłuszniejszy—żona najlepsza, psuć się jakoś zaczęli. Miecznik czynił wymówki jejności, że córki wychować nie umiała, Zboińska składała winę na niego. Kilka razy rozeszli się powarzeni, a choć potem oboje się płacząc przepaszali, życie już nie szło jak dawniej. Ojciec na córkę gderał, a szukał ją ze łzami. Niekiedy szukając rozrywki Zboiński jechał na trzy dni, a bawił dwa tygodnie i wracał jak wyjechał kwaśny a zgryziony.

Jadzia chodziła spokojna, smutna, posłuszna, ale zmieniona na twarzy i w duszy. Uśmiech przymuszony zjawiał się na jej ustach i często we łzach roztopiał.

Miecznikowa szukała środków na ożywienie Mierzejewic i trudno je było znaleźć. Spraszano gości—to cokolwiek Miecznika, choć na krótko, rozrywało.

Przypadły właśnie urodziny p. Zboińskiego w lipcu. Nie mówiąc mu nic, jejność się wybrała po sąsiadach.

—Moi dobrodzieje, mówiła wszędzie, męzysko mi czegoś kwaśne; od tej niewoli poznać go trudno. Co robię, żeby go rozruszać, wszystko nadaremno. Przynajmniej gdy goście nadjadą, to się ożywi. Zjedźcie się na urodziny, przywieźcie kogo możecie, abv było jak najwięcej.

Gdy nadszedł dzień ten, w istocie frekwencya się znalazła, jakiej nigdy nie było. Gdzie kto miał rezydenta, krewniaka, gościa, przywiózł z sobą do Mierzejewic. Dziedzinnie pełnuteńki był kolebek, bryczek i koni. Stół musiano zastawić w szpalerze; bo dzień był piękny, a ławkami się ratować, bo krzesła i stołków zabrakło.

W istocie solenizant wypogodzoną miał twarz jak za dobrych czasów. Gdy zasiedli do obiadu, a z młodzieży zaczęto bić na wiwat, zrobiło się gwarno, wesoło, ohocho... aż Miecznikowa Bogu za dobrą swą myśl dziękowała.

Przy Mieczniku nieopodal siedziała Jadzia, naprzeciw nich obywatel z Sandomierskiego, przybyły do brata p. Suchodolskiego, który go tu z sobą przywiózł. Sandomierzanin gaduła był i człek wesoły. Prawił oracye, koncepta, anegdutki i wiersze, tak, że gdy usta otworzył, cichło wszystko i słuchano go z największą echiwością. Zwykle dopiero ku końcowi wybuchał śmiech rzesisty. Zaczęto prawie o różnych losach dziwnych ludzi i charakterach. Różne przykłady wad i przywar ludzkich, posuniętych do najwyższego stopnia — śmieszności i nałogi opisywał z kolei ten i drugi, aż Suchodolski z pod Sandomierza, zabrał głos:

— Już kutwy doskonalszego w swym rodzaju — jak my w Sandomirskiem, pana Skwarkę — nie miał świat i Korona. Można go było pokazywać jako monstrum, bo spojrzawszy nań, szelągaby zań nikt nie dał, a zostawił po sobie fortunę, jaką daj Boże każdemu. Żył skwarkami i chlebem, albo chlebem z olejem, chodził w kozuszkach zatuszczonym, mieszkał w chlewkach. Wyprawiał z sobą dziwy, dziwy z ludźmi, którzy się z niego śmieli, a on śmiał się z nimi.

Pieniacz był nielada, bez procesu żyć by nie mógł, ale prawników odsyłał do miłosierdzia Bożego po zapłatę. Ani sługi, ani parobka nie nagroził po ludzku, i tak całe życie sterał. Pod koniec, słabszym się czując, wziął sobie nieszczęśliwego jakiegoś krewniaka czy imiennika, którym się wysługiwał jak murzynem. Ale cóż? tacy ludzie szczęście mają; proboszcz, który mi to opowiadał, a patrzył dzień w dzień na życie jego i sprawy, — mówi, że równie skromnego, poczciwego, spokojnego, dobrego chłopca ze świecą szukać. — Co z nim stary kutwa wyrabiał, na wołowejb skórce nie spisał.

Między innemi rzecz taka: Gdy ów krewniak przybył, w murowance, gdzie stary z pajakami i szcurami mieszkał, nie było dla niego kąta. Dał mu izbę z rozbitym piecem, pustką okrutną, którą sobie przybyły urządził własnymi rękami, poprawił, oczyścił i uczynił mieszkalną.

Gdy kutwa zobaczył, że to po ludzku wyglądało, wyprawił chłopaka do Lublina, a sam przeniósł się do jego izby. Koniec końcem, jednak, że umrzeć każdemu wreszcie potrzeba, stary się poczuł źle, nogi puchły i wzięwszy słowo od biednego krewniaka, że majątku nie straci, zapisał mu wszystko, a tak ów Korczak nagle do fortuny przyszedł.

— Korczak? — zawołał Miecznik bledniejąc — jaki Korczak?

Jadwisia się zarumieniła jak wiśnia i poczęła oczyma jasnymi wpatrywać się w Suchodolskiego.

— Jaki Korczak? — tego nie wiem, odparł Suchodolski, widziałem go zdala na pogrzebie, dziwnie piękny chłopak, szlachetna twarz i miła.

— A! to on! — krzyknęła mimowolnie Jadzia składając ręce.

Miecznikowa i mąż spojrzeli po sobie, gospodarz starał się jakimiś znakami Suchodolskiego przestraszyć, aby rozmowę przerwał, ale ten je źle zrozumiał, jeszcze się rozwiódł obszerniej.

— Tyle wiem, że ma imię Jan czy Janasz i że był w tureckiej niewoli.

— A! to on! to on! powtórzyła Jadzia ręce składając i zwróciwszy się do matki — to on!

Wszyscy na nią patrzyli, co ją bynajmniej nie zmieszalo.

— Tak — to ten sam, który matce imnie życie ocalił, który ojca uratował z niewoli — dodała Jadzia — ale jakże być może, aby puszczony na swobodę, nawet się do nas nie zgłosił?

Miecznik ze spuszczeniem oczyma, ręką bębnił po talerzu, matka poskramiła oczyma córkę.

— A! to chyba nie nasz Janasz — dodała Jadzia — bo gdyby ten był, który się u nas wychował, pewnieby nie poszedł nigdzie, tylko tu przybył naprzód jak do rodzicielskiego domu.

— Są nazwiska i imiona podobne — wtrącił Miecznik z flegmą — i ja też sądzę, iż to ten sam być nie może, ale inny pewnie jaki.

Jadzia spojrzała w koło, pobladała i zamilkła.

— Dziwne jednak imienia i nazwiska podobieństwo! — dodała po chwili.

Suchodolski, który był wielkim znawcą ludzi, spostrzegł, że swoim opowiadaniem jakąś niezręczność popełnił; zaczął więc zaraz przywodzić rozmaite zdarzenia, w których zupełne imion i nazwisk podobieństwo było dziwnych omyłek powodem. Mie-

dzy innemi powieść o pani Bubrzińskiej z domu Łabowskiej, która dowiedziawszy się o panu Tomaszu Bubrzińskim w Warszawie, przemówianym mężu swoim, zajechała szarą wieczorem wprost do niego, a tak pewna była, iż męża znalazła, że go uściśkała. W tem chłopiec ze świecą wszedł i odkryło się, że to był pan Tomasz Bóbrzyński, któremu za to że ją śmiał napowrót pocałować, wymierzyła policzek tęgi i odeszła.

Śmieli się wszyscy — Jadzia siedziała zamyślona, blada, wspomnienie to, chwila radości, rozczarowanie — przybiły ją.

Suchodolski tymczasem, znać zaczepiony przez kogoś, wyliczał bajeczne sumy w kapitałach, obligacjach i majątnościach, które ów Janasz Korczak odziedziczył.

Miecznik słuchał z uwagą wielką.

— A nie wiesz co zamierza? — pewnie mu się głowa zawróciła!

— Pojechał się słyszę do wojska zaciągnąć — dodał Suchodolski — bo i minę ma i gusta rycerskie, a z biedy znać tylko u starego kauzyperdy służyć musiał.

Teraz sobie przypominam, jak przez sen — kończył opowiadający, że mi ksiądz opowiadał, iż dziwne a osobliwe historie słyszał od niego, o oblężeniu jakimś od Tatarów na Podolu, które wytrzymał; miał jeszcze blizny od ran tatarskich.

Jadzia wstała wyprostowana jak świeca.

— To on! — krzyknęła ręce łamiąc, ocalony — i padła na krzesło na pół omdlała.

Miecznikowa przybiegła do niej, a Zboiński rzekł chłodno:

— Niema się co dziwić, że Jadzia tę wiadomość tak do serca wzięła, bo się ten chłopak u nas wychował i uważała go za brata.

W istocie, musi to ten sam być...

Jadzie matka odprowadzić musiała od stołu, a za tem i inni goście powoli ruszali się i rozechodzili po pokojach, tylko ci, co kielichy mieli pełne, za stołem pozostali.

Miecznik udawał jak mógł, że go to nie nie obezszło, lecz w istocie dotknięty był mocno znalezieniem się córki, które wszystkie postrzegli i tłumaczyć sobie musieli. Matka na bok nieoproprowadziwszy Jadzie, zakłęła ją na wszystkie świętości, aby się opamiętała i do plotek nie dawała powodu, a była spokojną. Jakoż po chwili Jadzia ukazała się blada w kole rówieśnic i starała się prowadzić jakąś rozmowę obojętną; Zboiński też zagadywał czem innem, do kielichów zmuszał i czynił co tylko mógł, aby zatrzeć wspomnienie o tym wykrzyku córki, którego dźwięk jeszcze mu brzmiał w uszach.

Zabawa więc trwała jak zwykle do późna i skończyła się wiatami na ganku. Z moździerzy strzelano aż szyby brzęczały. Nad ranem jednak porozjeżdżali się wszyscy, a ci co jechać nie mogli, spali w ofiecnach i w szopie na sianie.

Jadzia w sukniach jak stała, siadła nierozebrała w krzeselku, zadumana i smutna. W tem weszła Miecznikowa.

— Kładźże się spocząć tak późno.

— A! matusiu, jak tu się położyć — jak tu spać, kiedy się serce krzawi! Ten człowiek, ten, którego przywiązaniu ja tak wierzyłam — ten Janasz, mógł porwociwszy z niewoli pójść się uganiać za upadłą służbą dla majątku, nie dawszy nam nawet znaku życia!

Matka stała zamyślona przed nią, walcząc z sumieniem.

— Nie obwiniaj go — rzekła — to, co ty znajdujesz grzechem, on pewnie i ja mamy za zasługę i cnotę. Po cóż miał tu powracać, tak jakby rękę po nagrodę wyciągał? po co? gdy ty nieopatrzne dziecko, dałaś mu sto razy uczuć, że go kochasz, a ja otwarcie oświadczyłam, by nie śmiał na pańskie dziecko — oczów podnieść.

— Matko? tyś mu to mówiła? krzyknęła Jadzia, ręce łamiąc.

— Jeśli nie temi słowy — to równie jasno i wyraźnie, kończyła Miecznikowa. — Nie chcę, byś go obwiniała niesłusznie. Wiedział, że między nim a tobą jest przepaść, bo córka pana Miecznika nie mogła być żoną ubogiego sługi i sieroty.

Jadzia rozplakawszy się, rzuciła matce na szyję.

— Matuniu droga! dziękuję ci! — a! temi słowy uspokoiłaś mnie. Tak! on nie mógł zapomnieć, on

nie był niewdzięcznym, on jest, jakim był. Teraz, pozwól mi się pomodlić.

— Módl się, dziecko moje — odparła Zboińska, aby ci Bóg dał spokój i ducha i rozum, a zapomnienie przeszłości. Tak — trzeba zapomnieć.

Jadzia uściśkała matkę w milczeniu i przed łóżkiem rzuciła się na kolana. Matka zobaczyła ją rozpoczynającą modlitwę — i wyszła. Właśnie szukano jej po całym domu, bo Miecznik chciał się z nią widzieć i mówić. Zastała go rozebranego w białym kitlu i chodzącego po pokoju wielkimi krokami. Sapał i zżymał się i bureczał. Zaledwie zobaczył wchodzącą Miecznikową, począł gwałtownie:

— Pięknie się waścina Jadzia spisał! pięknie! roznieś się po calutkiem sąsiedztwie historya! Patrzali na nią wszyscy.

— Ale ktoś się mógł spodziewać i cóż w tem złego, że się uniosła?

— Tak! tak, to kara Boża za kłamstwo. Mamy cośmy sobie sami zgotowali — mówił Miecznik. I cóż dalej? co dalej?

Stanał, patrząc na Miecznikową z założonemi na piersiach rękami.

— Pytam asindzki — co dalej?

— Ale cóż ma być? — nic.

— Nic — zapewne! — będzie coraz większy kwas w domu i dziecko schnąć i więdnąć będzie jak schło i więdło.

— Cheesz — że mu ją dać! Mieczniku! — zawołała pani Zboińska.

— Ja — ją? jemu? teraz, gdy odziedziczył *jure caduco*, jakąś tam fortunę, żeby ludzie mówili, żeśmy się na nią złakomili — i że póty, póki ubogim był, tośmy go za hetkę nie mieli, a teraz go honorujemy, bo w pierze porósł. Ale! nigdy w życiu! nigdy w życiu! Miecznik się w piersi uderzył:

— Ani wprzódy, ani teraz, ani nigdy mieć jej nie będzie.

Pani Zboińska przeszła się po pokoju zwolna.

— Mój jegomość — rzekła spokojnie — zmów pacierz, kładnij się spać — i dajmy temu pokój.

Dobranoc!

Miecznik nic nie odpowiedział, stał w oknie zadumany.

Następny dzień był smutnym i kłopotliwym jak wszystkie jutra po uctach. Mnóstwo szkody, wielki nieład, nieskończone spory zostały po urodzinach. Gości reszta się rozjeżdżała, a gdy ostatni ruszył od ganku, Miecznik odetchnął swobodniej. Jadzia się przez cały dzień nie pokazywała, mówiła że była zmęczoną i chorą. Pod wieczór wyszła do ogródka. W rogu domu stał z rękami w tył założonemi Nikita. Podbiegła ku niemu.

— Nikita? ty wiesz, on żyje...

— E! panienko — uśmiechnął się dworak — jam o tem najdawniej wiedział, że on żyje.

Zniżył głos. — On — że przecie tu jechał najpierw do nas, a państwo go z miasteczka odprawili w świat, żeby się nie ważył pokazywać. Ja do niego z tem jeździłem... i pieniądze mu wozilem, ale ich wziąć nie chciałem.

Jadzia zbladła dziwnie.

— Mów — odezwiała się cicho — mów mi wszystko: więc ojciec i matka wiedzieli?...

— A juścić — mówił Nikita. Jak mu zakazano się tu pokazywać, poszedł w świat nieboraczysko bez grosza. I dlatego musiał tę nędną służbę przyjąć, a cierpiał taki niedostatek, że go spotkawszy w Lublinie, znalazł bez grosza przy duszy.

— On był w Lublinie, gdyśmy my byli.

— A by — ciągnął dalej Nikita — ale zaraz wyjechał, aby się nie narażał panu i pani.

Jadzia zmlęła, głową tylko skinęła Nikicie i poszła dalej, ażeby ukryć wzruszenie.

W domu następnych dni było nie do zniesienia smutno i wyżycie trudno. Miecznik się nieustannie gniewał, lajał, rzucał i nic mu dogodzić nie mogło. Wybureczał ekonoma, ochmistrzynię, żonę, służbę całą, a wkrótce potem wyjechał w sąsiedztwo i tydzień go w domu nie było, a wróciwszy, nim z bryczki zsiadł, już cały dwór zwołał i zbezczescił. Stał się tak dziwnie drażliwym jak nie był nigdy.

U stołu nie mówił do córki nic — przypatrywał się jej zdaleka, nie mógł nic znaleźć do wyrzucenia, bo milczała i nie odzywała się wcale — bureczał więc na innych, a na nią tylko patrzył z ukosa.

Z małemi odmianami humoru, tak upłynęło całe lato i jesień, przerywane tylko otrzymaniami wia-

domościami od wojska, które po zdobyciu Jazłowca, spodziewano się ujrzeć wkraczającym na Wołoszczyznę. Wiadomo jak wyprawa ta przeciwko Turkom małe wydała owoce. Jesienią już, gdy dwór się w Żółkwi znajdował, Miecznik zapragnął pojechać do króla i kazał się do drogi sposobić. Męczył go smutek Jadzi, którą kochał, ale był z niej wielce niezadowolonym.—O Janasz od owego obiadu wcale mowy nie było, ani on ani matka imienia jego nie wspomnieli.

Miecznik w wigilię wyjazdu do Żółkwi, wieczorem posłał po Jadzię, aby do niego przyszła.

Dziewczę przybiegło natychmiast.

Poruszony już wielce samą myślą o rozmowie, jaka nastąpić miała, Zboiński wcześniej okazywał niezwykajny jakiś stan umysłu. Spojrzał na córkę, nie mógł się zebrać na słowo.

— Słuchajno, Jadziu—odezwał się—raz się nam trzeba rozmówić otwarcie. Dusić się w sobie na nie się nie zdało. Przebierasz w uczciwych ludziach, co ci się stręczą jak w ulegalkach... popłakujesz, wdychasz, czynisz siebie nieszczęśliwą, a nas tyranami; raz się to skończyć musi. Zawróciła się asindźce głowa, czy co u katala pokochałaś przybłądę tego, Janasza. Niemam nic przeciwko niemu, bo chłopiec uczciwy, ale mu daleko do tego, żeby śmiać po rękę córki mojej sięgnąć! Daleko! Na to ja nigdy nie pozwolę — to trzeba sobie wybić z głowy. Rozumiesz?!

Jadzia chwilę stała mileżąca—a potem rzekła:

— Nie będę kłamać — kocham Janasza od dzieciństwa. Macie prawo mną rozrządzać, czyńcie co chcecie. Zabronicie iść za niego, woli waszej się nie sprzeciwię, ale u ołtarza innemu nie przysięgnę.

Podniosła głos i powtórzyła: — Ojcie! tego nie możesz wymagać odemnie.

Miecznik się porwał z krzesła:

— Tak!—zawołał—na śmierć moją będziesz czekała! doczekasz jej rychło, bo ja sromu i cierpienia tego nie przeżyję...

— Ojcie, nie masz litości! krzyknęła Jadzia—i padła.

Ojciec skoczył ją ratować, z rozpaczą bijąc się w piersi i głowę. Rozruch w całym domu powstał, wpadła Miecznikowa: zaczęto cucić Jadzię i zanieśiono ją na łóżko. Zboiński w rozpacz, że się uniósł, pobięł rękę jej całować i uspakając. Sądny dzień był w Mierzejewicach. — Wieczorem Jadzia w gorące leżała nieprzytomna, a rodzice płacząc siedzieli przy niej. Do wszystkich kościołów i klasztorów rozesłano na nabożeństwa, do cudownych obrazów na wotywy, do Krakowa pojechał Podstarość po lekarza.

Siedm śmiertelnych dni przeleżała tak walcząc między życiem a śmiercią, a gdy przybył z Krakowa doktor, znalazł ją osłabioną jeszcze, ale już ocaloną. Wstąpił duch w rodziców. Podróż do Żółkwi naturalnie odłożoną została i mowy już o niej nie było.

W kilkanaście dni Jadzia wstała, zmieniona, osłabła, ale zrezygnowana i mileżąca.

W Mieczniku choroba ta sprawiła zmianę nadzwyczajną — nie mówił nic, lecz złagodniał znacznie e pobożniejszym się stał niż kiedykolwiek.

Gdy niebezpieczeństwo minęło, sama żona przypomniała mu podróż do króla i Żółkwi. Miecznik wybrał się, pożegnał czule i pojechał, lecz bez tego zapału, jaki okazywał zwykle, gdy się wybierał w drogę.

W podróży ludzie, którzy się już byli przygotowali na niecierpliwosć i łajanie, zdumieni zostali wielką powolnością pana, który nawet na ulubione konie swoje nie zwracał uwagi. Dostali się na Ruś. W Żółkwi zjazd był właśnie ogromny, nie tylko Senatorów i dygnitarzy Rzeczypospolitej, ale obcych posłów i gości. Miecznik wpadł w tłum cudzoziemców, których nie lubił. Pomimo tego natłoku, nazajutrz rano już mógł się dostać do króla. Zastał go na rozmowie z ks. Votą, który Sobieskiego najlepiej rozmowami uczonemi rozrywać umiał i bez którego się on prawie chwili obejść nie mógł.

Zobaczywszy Zboińskiego, Sobieski zaraz witając go zawołał:

— Mieczniku, gorzej mi z domu własnego wracasz niż z niewoli? Zmizerniałeś, wychudłeś.

— N. Panie — rzekł Miecznik — dom też ma swe kłopoty, a mnie i to gryzło, żem z W. K. Mością pod Jazłowcem i Żwańcem być nie mógł.

— Powetujemy to—odparł król—boć to jeszcze widzi mi się, nie koniec. Miałem za waszmości, choć już w ostatkach wyprawy jegomościnego wychowawca Korezaka, który się spisywał dzielnie.

Miecznik zamilkł.

— Musieliście go już widzieć, bom go z sobą do Żółkwi wziął, bardzo mi się podobał i dalszą jego krescytywą chcę się zająć. Wart tego.

Zboiński zmieszany nie wiedział co odpowiadać.

— Miałem go za ubogiego — dodał Sobieski, sądząc, że tą rozmową przyjemność uczyni Miecznikowi, a no, okazuje się że to chłop zamożny. Wystawił poczet, co się zowie okazały.

Stanawszy naprzeciw Zboińskiego król, zdawał się czekać odpowiedzi; Miecznik uparcie mileżał.

Poszła tedy rozmowa o tegorocznej wyprawie i o Kamieńcu, który król koniecznie chciał liberować z rąk turckich. Zboiński się rozgadał... i tak godzina upłynęła. A że i ks. Vota siedział i Alberti weneccyanin, który przy królu był, nadszedł, Zboiński pożegnał go i wysunął się do miasteczka.

Dowiedział się o Janaszu i to mu humor zepsuło.

— Błazen jeden, mrucał w duchu, dowie się, że tu jestem, powinien przecie do mnie przyjść z pokłonem. Cóż? będzie się na mnie boczył, żem mu do Mierzejewic jechać nie dał. Pal go diabli! Juścić ja go nie pójde przepraszać.

Tegoż dnia jednak Janasz się nie pokazał i Zboiński z nim nie spotkał. Nazajutrz idąc do zamku, na drodze, spostrzegł Miecznik Janasza w paradnym stroju rycerskim, dążącego też na zamek. Zetknęli się prawie oko w oko. Korezak zobaczywszy Miecznika, żywo do kolan mu przypadł, z taką wielką i niekłamana radością, z takim uniesieniem, że stary o wszystkim zapomniawszy, ściskając go rozplakał się.

Miecznik czuł się względem niego winnym, nigdy by jednak do tego się nie przyznał pierwszy; teraz był złamany pokorą i łagodnością i oburzony przeciwko sobie samemu. Poszli razem, jak gdyby nigdy nie zaszło między nimi—mówiąc o Turkach, o królu, o wyprawie, o dworze, a nie tykając rzeczy drażliwych. Ponieważ Zboiński dnia tego miał się pokłonić królowej jejmości i być u dworu, Janasz go więc pożegnał, bo miał też zajęcia od króla dane. Umówili się zejść wieczorem.

Miecznik w duchu wyrzucał sobie winy swoje.

Zatem jednak wcale nie szło, a żeby miał zmienić przekonanie co do córki i małżeństwa. Chciał wynagrodzić Janaszowi niewdzięczność, lecz wcale innym sposobem—popierając go u króla, okazując mu dobre serce. Do Mierzejewic nietylko go nie zapraszał, lecz o nich, o żonie i córce unikał przy nim wspomnienia.

Wesoły humor dawny p. Miecznika, uczynił go upodobanym królowej, która potrzebowała rozrywki i wdzięczną była tym, co ją z sobą przynosił.

W rozmowie Marya Kazimira powinszowała Miecznikowi wychowawca, gdyż i ona znała Korezaka, który był od kilku miesięcy przy dworze i dosyć go lubiła.

— Mam na niego zamiary—rzekła pociechu—ładną pannę, piękny posag i dobre imię.

Utkwiło to w głowie starego, a że miał na dworze stosunki, dowiedział się, że królowa zamierzała swatać Janasza z margrabią francuzką, nie mającą panią ale świętego rodu. Zdziwiło go to wiele.

Wieczorem gdy się znowu zeszli, zdała Miecznik ją się rozpytywać i badać o ów spadek po sknerze. Janasz nie bardzo się z tego chciał spowiadać, w końcu jednak, zaspakajając ciekawosć Miecznika, wyliczył mu się z wszystkiego.—Zdumiał się mocno p. Zboiński... Całą noc potem spać nie mógł, choć nie wiedział dlaczego.

Raniuteńko poszedł na nabożeństwo do kościoła. Tu jak zwykle począł z sobą rachunek sumienia. Nigdy oddawna tak mu on źle nie wypadł.

— Grzeszniku obrzydły — bij głową o posadzkę i bij się w piersi, mówił sam do siebie—boś pełen sprośności i brudu. Dziecko poświęciłeś dla głupiej próżności, a teraz, gdy ci zaświeciło złoto w kieszeniach biednego chłopca, poczynasz w nim smakować i już ci się wydaje nie tak dalekim. Ha! przyznaj się — upokórz, nie jesteście nikczemnym, chciwym, a głupim?

I bił się Miecznik w piersi, a płakał.

Gdyby kto z boku choć połowę mu tych ostrych

prawd śmiał powiedzieć, wyzwabiłby go na rękę pewnie i poobeinał—sobie musiał to przebaczyć.

Gdy się msza skończyła, wyszedł upokorzony i gniewny. Nie chciał nawet dłużej w Żółkwi bawić. Król w wigilię tego dnia dał mu być przywilej na Starostwo. Miecznik rozmyślił się i z obrachunku sumienia wypadło, iż z dyplomem za kontuszem do króla powrócił. Nikogo nie było.

— N. Panie—rzekł Miecznik—przyszedłem ręce W. K. Mości ucałować za łaskę jego — ale o nową prosić. Król stanął zdziwiony; Miecznik dobył pupier.

— N. Panie, uczynicie to dla mnie, rozkażcie w kancelaryi przepisać Starostwo na Korezaka. Ocalił mi życie, nie mam mu jak odwdziżyć. Chleba z łaski Bożej mam dosyć.

Pokłonił się do kolan.

— Dałbym mu drugie—odparł król, ale rzeczywiście już nie do rozdania nie mam.

— Toby była łaska wasza N. Panie, a nie ofiara odemnie, a ja pragnę, aby to wziął z rąk moich.

— Ceduj mu Starostwo, a ja konsens dam—rzekł król—zgoda na to. Pokłoniwszy się Zboiński pobiegł do kancelaryi i za kilka dukatów otrzymał zmianę przywileju.

W kieszeni go mając, poszedł śpiewając do gospody. Korezak miał nadejść. Zaledwie się w drzwiach ukazał, Zboiński go dawnym uśmiechem powitał:

— Jużem myślał, że cię owa margrabią przytrzyma—rozmiał się.

— Jaka!—pyta Korezak rumieniąc się—o żadnej w świecie nie wiem.

— Zartuj zdrów, mrugając oczyma — rzekł Miecznik—królowa cię sama swatać ma.

— Mnie się o tem nie śni.

Miecznik zwrócił się szukając papieru, wziął go w ręce i stanął przed Korezakiem.

— Słuchaj—rzekł—służyłeś mi wiernie i pocziwie, odpłaciłem ci tak, żeś mnie za niewdzięcznego mógł poczytać. Spokojnie usnąć nie mogę. Rachunki nasze nie skożone. Król mi dał Starostwo Mielnickie, a ja wyrobiłem u niego prawo cedowania go na ciebie. Konsens król podpisał. Witam cię, mój Starosto.

I rzucił mu się na szyję.

Janasz padł mu do nóg.

— Panie mój, którego ojcem nazwać mogę, bos mi go zastąpił—nie czyn tego, proszę! Co mi po tem Starostwie?

— Tobie nie po niem, ale mnie, mnie trzeba, abys je odemnie wziął. W sumieniu mi lżej będzie.

Inaczej, wieczny rozbrat!

Janasz wstał i w rękę Miecznika pocałował. Miecznik był dziwnie wesoły. Kazał nazajutrz przygotować wszystko do podróży.

Wieczór zszedł szybko. Rozebrawszy się Zboiński, ziewnął i wreszcie oświadczył, że spać się kładzie.

— Ty idź, ale jutro, mości Starosto, staw mi się tu o brzasku, abysmy się jeszcze raz pożegnali.

Z dziwnym jakimś uczuciem pomieszanego smutku i wesela, do domu się powlókł Janasz. Ten podarek Miecznika ciężył mu jak kamień, widział w nim ukończenie wszelkich rachunków, rodzaj tajnej zapłaty, pokwitowania się i—rozbratu.

Zboiński nie chciał być w długu, a inaczej wdziżyć się nie umiał.

Nazajutrz rano, gdy przyszedł do gospody, już Miecznika ludzie i konie byli gotowi, Zboiński poświęcając polewkę dopijał, wesół jak dawniej, gdy przed sobą miał drogę.

— Dzień dobry, panu Starościel—zawołał żartobliwie—a jak się tam spało z przywilejem pod poduszką?

— Nie ciekawie — rzekł Janasz w rękę go całując—bom się bał zaspać ranka.

— I o włos się to nie stało. Waszeć mnie znasz? he? ja gdy w drogę się wybieram, zawsze godzinę jestem wcześniej gotów niż trzeba. To już taka natura.

Kazał sobie podać Zboiński kożuszek podróżny—Janasz go podpasal; włożył buty ciepłe, wziął kożuszek w rękę. Zegnali się czule, Korezak prowadził go do bryki. Miecznik siadł.

Z odkrytą głową stał przed nim Korezak, łyzy mu się w oczach kręciły. Już prawie konie ruszać mia-

ły, gdy Zboński się odwrócił, po ramieniu uderzył Janasza.

— Słuchaj-że, panie Starosto—zawołał—jak tylko ci król da urlop — czekam waszności w Mierzejewicach.

Słowa te wymówił głośno, wyraźnie, powoli—i dodał:

— Ruszaj!

Konie nawykłe do tego głosu, z kopyta pomknęły. Korczak chciał rękę pochwycić, ale już było zapóźno. Miecznik uśmiechając się ręką go zęgnął i powtórzył:

— Do zobaczenia w Mierzejewicach!

Jak p. Miecznik wesół do domu wrócił i przyjmie żonę humorem swym zadziwił—o tem szeroko pisać nie widzimy potrzeby. Z Jadzią się przywitał po staremu w czoło ją pocałowałwszy.

Mówił wiele twarzą, ale ustami nie. Wytrzymał tak chwilę—potem niby obojętnie.

— Ale—ale—spotkałem w Żółtkwi Janasza, wiedzie mu się też, wiedzie.... Król mu Starostwo dał, a królowa jejmość chce go z jakąś Francuzką ożenić. Myślę jednak, że to do skutku nie przyjdzie, bo.... bo.... ja go do Mierzejewic prosilem.

Głos mu drżał. Jadzia skoczyła i padła do kolan płacząc.

— A tylko już tych szlochów dosyć — wybuchnął—gdy źle—buczą, gdy dobrze—płacz! Skaranie boże z temi łzami! Czegóż już więcej odemnie chcecie? Niechże będzie w domu wesoło.

Uściskał córkę.

A na tem kończy się historia Janasza Korczaka i pięknej Miecznikówny.

KORESPONDENCYA Z ZAGRANICY.

Pogoda.—Zaduszki.—Wykłady p. Boberskiej.—Konkurs na dzieła dramatyczne dla młodzieży.—Stowarzyszenie Pracy kobiet.—Towarzystwo Przemysłowe. Towarzystwo Zastawnicze Zaliczkowe.—„Porcy“ p. Tarnowskiego.

Lwów, w Grudniu 1874.

Korespondencyę moją dzisiejszą rozpocznę od najpospolitszego przedmiotu—od pogody.—Niejedna może z czytelniczek moich przerazi się tym wstępem i powie sobie, że przecież nie koniecznym obowiązkim korespondentów jest nudzić czytelników. Prawda,—przynaję — a jednak nie cofam się przed zamiarem moim;—po części dla tego, że mi się jakoś nasunęła pod pióro chęć i myśl mówienia koniecznie o śniegu i deszczu, po części z tego powodu, że najpowszejdniejsze, najnudniejsze tak zwane przedmioty, zwykłe najbliżej nas obchodzą i nie zrażając się naszą pogardą lub ziewaniem, dokucają niemilosiernie w codziennem życiu. Tak się też dzieje i z pogodą naszą,—od miesiąca męczy nas ona swemi grymasami,—stała jest w swej niestałości.—W połowie Listopada mieliśmy ogromną ślotę—śnieg lub deszcz naprzemian; ostatecznie jednak śnieg przemógł, zasypując nas ciągle większemi lub mniejszemi płatami i zima stanęła. Zima ta, bez mrozu, przeraziła gospodarzy wiejskich, zaczęli przepowiadać na rok przyszły niezawodną klęskę głodową—czem z kolei zima sama przerażona zapewne, zaczęła zmykać, zatrzymując się tylko chwilowo, jakby oglądając za siebie. Krótkie te chwile jej wahania się liczymy małemi przymrozkami, zresztą ciągłą prawie mamy odwilż, której kolejno dopomagają deszcz lub słońce.

Nieprzyjaciele Lwowa powiadają, że jest zniemczonem miastem; musieli go oni widzieć tylko w jego pogodnych dniach—albo też zapomnieli może, iż Niemcom przypisuje się zwykłe wzorową czystość i porządek,—mają to być ich cnoty kardynalne;—najzawziętsi zaś wrogowie naszego miasta nie mogliby dopatrzeć się w niem tych cnót, szczególnie w czasie śloty. Ulice zawałone śniegiem tak, że drzejście w poprzek nich wymagało pewnej wytrwa-

łości nie tylko obuwia ale i nóg; chodniki starannie zalewane ściekami dachów, których rynny, w jakimś niezbadanym celu a może tylko dla większej dogodności przechodniów, wprost na chodniki otwierają się—i wreszcie ogromne lawiny śniegu spadające lub zrzucone z domów i nieraz doskonalę trafiające w głowy ludzi, stanowiły prawdziwą rozkosz dla mieszkańców Lwowa.—Wypraszali się oni jak mogli od tej rozkoszy, zwracali do magistratu z pokornymi prośbami o zaprowadzenie porządku, chłostali go nawet ostremi przycinkami—głosili tysiączne wypadki zdarzające się w mieście w skutek tej bezprzykładnej niedbałości, ale wszystko to jakoś bardzo powolnie działało na zahartowane nerwy gospodarzy miasta, tak, że więcej niż przez parę tygodni mieliśmy utrudnioną komunikacyę uliczną.—

I jakże nie mówić o pogodzie, będącej bezpośrednią sprawczynią tego? Jak nie myśleć o pięknych dniach, które tak niedawno pożegnaliśmy? Ostatnią też piękną jesienią przechadzką, w której większą połową miasta udział wzięła, była uroczystość na cmentarzu Łyczakowskim na zaduszki.

Już w dzień Wszystkich Świętych tłumy ludu zdążyły na cmentarz, niosąc wieńce, bukiety, latarnie chińskie, świece i inne przedmioty mające służyć ku ozdobie grobów. Nazajutrz zaś od samego rana rozpoczęła się istna olbrzymia processya na ulicy Piekarskiej wiodącej ku cmentarzowi; wielka łuna, wznosząca się nad nim, służyła za cel i wskazówkę płynącemu tłumowi. Dziwny, zaprawdę, i piękny widok przedstawiało to miasto umarłych. Tysiączne ognie, kwiaty na grobach, mniej lub więcej ozdobnie przystrojonych; przesuujące się wśród nich ciche grupy żywych, jak gdyby bojących się naruszyć spokoju tych, co już snem wiecznym spoczęli; głuchy, nieokreślony szmer,—szepc tysięcznych ust: wszystko na tle cichej, pogodnej nocy tworzyło fantastyczny obraz, któremu dodawała uroku myśl wzniosła, że pamięć i miłość ludzka trwałymi być mogą nad życie samo. Wrażenie wywołane tem świętem umarłych było głębokie i silne, szczególnie na tych co po raz pierwszy udział w niem wzięli.—Cześć żywym, którzy umieją pamiętać o umarłych!

Dnia 1-go listopada rozpoczęły się we Lwowie, w zakładzie p. Felicji z Wasilewskich Boberskiej, odczyty z estetyki i pedagogii. Mają one trwać przez sześć miesięcy, po dwa w tygodniu i utworzyć z każdego przedmiotu osobną organiczną całość.

Wykłady estetyki opierają się głównie na wywodach Fryderyka Vischera, która prelegenta, stara się pogodzić z realnym kierunkiem Zimmermanna, dając im wszakże zawsze za tło własne religijne pojęcia.

W pierwszym o pedagogii odczycie P. Boberska wykazała znaczenie i ważność tej nauki i określiła metode, której zamierza trzymać się w jej wykładzie. Dzieli ona pedagogię na trzy części: historyczną, psychologiczną i tak zwaną praktyczną, to jest mającą przedstawić teorię najlepszego połączenia pedagogii z doświadczeniem.

Wnioskując z tych kilku odczytów, które dały lekki rys historyczny pedagogii, sięgający starożytnych ludów, sądzę, że trzecia część obudzi w słuchaczach (a raczej słuchaczkach, niestety, nie zbyt licznych dotąd) największe zajęcie, bo dostarczy im bezpośrednich wskazówek w tak ważnym a codziennym użytku będącym przedmiocie. Co większa, wskazówki te opierać się będą na wysokim wykształceniu i wieloletniem doświadczeniu prelegentki, posiadającej ogólny szacunek i zaufanie.

Mówiąc o pedagogii, należy mi wspomnieć o jednym z jej środków—o teatrze.—Od dwóch lat ustanowiony przez p. Bartoszewicza, właściciela księgarni polskiej, konkurs na twory dramatyczne dla młodzieży, został w tym miesiącu roztrzygnięty.—Komisya konkursowa uznała wszystkie nadesłane sobie sztuczki, w przecięciu za lepsze od przeszłoroecznych,—choć żadna z nich nie może się równać z „Małym nauczycielem“ Maryi Grabowskiej, która na poprzednim konkursie pierwszą otrzymała nagrodę. Większością głosów sędziowie uchwalili: 1. Żadnej z przedstawionych sobie sztuczek nie przyznać pierwszej nagrody (150 zł. r.).—2. Drugą (50 zł. r.) przyznać dramatycznemu obrazkowi: „Najlepsze wiązanie“.—3. Komedyjke „Imieniny Mamy“ współzawodniczącą zaletami swemi z poprzednią i mniejszością jednego tylko głosu od dru-

giej nagrody usunięta, uznać za godną druku.—4. W protokule umieścić krótką ocenę trzech utworów, zasługujących na uznanie, pomimo pewnych błędów scenicznych: „Sędzia w kłopotcie“, „Gwiazdka“ i „Posługacz“. Autorem „Najlepszego wiązania“ jest p. Antoni Porębski z Krzyżanowa—w Królestwie.

Po wystawach księgarń tutejszych nie widać jeszcze wcale nowo wydanych książek, mających służyć na gwiazdkę dla młodzieży. Spodziewają się tu jednak, że Warszawa obfitująca w podobne wydawnictwa, zasili niemi i nasz Lwów.

W piśmie tem, w Nr. 15 b. r. korespondencya ze Lwowa szczegółowo oznajmiła Was ze statutem Stowarzyszenia pracy kobiet; dzisiaj więc chcę mówić tylko o dalszym jego rozwoju.

Stowarzyszenie to dnia 9 Maja b. r. rozpoczęło czynności swoje a obecnie liczy już 5 założycieli, 174 członków honorowych i 231 zwyczajnych; w funduszu obrotowym posiada 2751 zł. r., w zaliczkowym 223 zł. r., w zapomogowym 41 zł. r.

Najprzód urządzono w Stowarzyszeniu szwalnię i warsztat krawiecki, bo w tych gałęziach pracy kobiecej najłatwiej można było znaleźć zręczne robotnice i korzystne zamówienia.—Dnia 15 Lipca otworzono trzecią pracownię,—szewką. Kieruje nią p. Lepiecki, majster szewski umyślnie w tym celu z Warszawy sprowadzony, którego uczenie otrzymały listy pochwalne na ostatniej wystawie Warszawskiej. Zrazu nowy ten rodzaj pracy nie wiele miał zwolenniczek, ale wkrótce liczba ich wzrosła i obecnie 15 uczennic liczy warsztat szewki, który już dzisiaj znaczne przynosi Stowarzyszeniu korzyści. Jedna z pracownic pokazywała mi parę buczików, w których wszystko własną jej ręką wykonane było; uczyła się dopiero od dwóch czy trzech miesięcy. Zdaje się jednak, że nie wszystkie jej towarzyski równą pilnością i takimi jej skutkami mogłyby się pochlubić; za mojej w zakładzie bytności zamiast piętnastu, pięć tylko uczennic gorliwie oddawało się swemu zajęciu. Towarzystwo jednak nie pobraża brakowi pracowników i wytrwałości swych członków,—w danych razach wykreśla ich z grona pracownic swoich.

W szwalni daleko więcej jest uczennic i robotnic; wielki ruch i gwar panują w ich sali. Do szycia białego mają dwie maszyny, do sukien także dwie; w szewkim warsztacie jest jedna duża do zszywania, dwie pomniejsze do wykrawania i zbijania skóry.

Kurs buchhalteryi istniejący w Stowarzyszeniu od m. Czerwca liczy 19 uczennic.

W dalszych planach jest założenie pracowni introligatorskiej. Administracya Stowarzyszenia utrzymuje też biuro wywiadowe, w którym osoby otrzymujące zajęcie płać 2 procent od rocznej kwoty wynagrodzenia.

Początkiem projektowanego bazaru jest szafa znajdująca się w pierwszej sali i obejmująca przedmioty na sprzedaż przeznaczone. Znajdują się między niemi przesłane kwiaty, roboty polki mieszkającej w Paryżu, która przysłała je tutaj na próbę, mającą okazać: czy przybycie jej tutaj i założenie fabryki kwiatów może się pomyślnie udać.

Stowarzyszenie od członka swego wymaga 18 lat skończonych, ale warunek ten nie obowiązuje uczennic, między temi więc ostatnimi wielką jest różnica wieku. Stowarzyszenie uznając dla nich konieczność nauki książkowej, przynależy na nią jedną godzinę dziennie.—Godzinę tę poświęcono wykładom religii, historii, geografii, arytmetyki i t. d.

Cały zarząd Stowarzyszenia, pracowni, bióra i t. d. jest w ręku kobiet. O ile zwiedzający sądzić może, zakład nie na tem nie traci; wzorowy porządek, pracowitość wyglądają tam zewsząd a przytem jakaś wesołość, zadowolenie malują się na wszystkich twarzach. Rozwój zakładu najlepszym jest dowodem energicznego działania, zapobiegliwości i zdolności stowarzyszonych.

W Kwietniu b. r. założono we Lwowie Towarzystwo Przemysłowe. Zawiązane na podstawie kapitału i pracy, rozwija się ono tak silnie, dąży ku tak ważnemu celowi, że spodziewać się może wielkiej dla siebie przyszłości.

Celem Towarzystwa jest spożytkowywanie „umysłowej i fizycznej pracy swoich członków, za pomocą przedsięwzięć podejmowanych wspólnymi siłami, na własny rachunek, lub na rachunek trzecich osób“.

Dla pozyskania kapitału Towarzystwo przyjęło nieograniczoną porękę, gdyż takowa jedynie może zapewnić Stowarzyszeniu ciągłość bytu.

Dla zapewnienia sobie współdziałania drugiego czynnika, t. j. pracy, przypuszczono do części zysków nie tylko członków zarządu pojedynczych przedsiębiorstw lecz także urzędników i robotników stałych, którzy *eo ipso* stają się członkami Towarzystwa.—Takim sposobem łącząc kapitał z pracą, znosi się przewagę pierwszego nad drugą i zapobiega rywalizacji tych dwóch potęg.—nieprzejednanych wrogów, walczących z sobą dotychczas.

Oprócz wielu ważnych projektów Towarzystwo zamierza założyć pralnie parową i łazienki. Te ostatnie szczególnie byłyby pożądanymi. W tak rozległym i ludnym jak Lwów mieście, zakłady kąpielowe powinny się znajdować na wielu jego punktach.— Tak nie jest jednakże—mamy ich zaledwie kilka a i w tych kąpiele bardzo są drogie.

Jeszcze o jednym Stowarzyszeniu. Wiecie już z poprzednich korespondencji o zaciełej walce, jaka się tutaj toczy między lichwiarstwem a Towarzystwami zaliczkowymi; te ostatnie zwyciężko z niej wychodzą, rosną w liczbę i siłę.—Dotąd jednakże pozostawiły one w rękach lichwiarzy jeszcze jeden, niezawodny sposób uciemiężania biedniejszej ludności, której nie przeciwko ich drapieżności nie broni. Sposobem tym jest udzielanie pożyczek na zastaw. Publiczne zastawnicze zakłady istniejące we Lwowie, przyjmują tylko złoto, srebro, drogie kamienie—w niektórych ryzach materye. Biedniejsza więc klasa, nie mająca przystępu do tych kantorów, staje się pastwą lichwiarzy, biorących w zastaw wszystko, co pożyczający ofiarować im może; przedmioty składane oceniają tak nisko, tak małe na nie dają pożyczki i tak wysoki procent rachują, że zwykle pożyczający wyrzekać się musi zastawionej własności swojej, której wartość przenoszą obciążając ją procenta.

Taki stan rzeczy wywołał chęć zaradzenia złemu. Pięciu obywateli tutejszego miasta, powzięło myśl założenia Towarzystwa zaliczkowego, któreby członkom swoim udzielało kredytu nie na weksle lecz na zastawy. Zastawy te mogłyby się składać nie tylko z kosztowności, ale ze wszelkich towarów i przedmiotów dających się łatwo przechować i nie ulegających zepsuciu.

Już to kwestya lichwy jest, jak widzimy, na porządku dziennym w Galicyi. Niespodzianym a zupełnie nowym przyczynkiem do niej stał się artykuł p. Stanisława Tarnowskiego, zamieszczony w Przeglądzie Polskim z miesiąca Listopada pod tytułem: „Porecy”. W nim p. Tarnowski obszernie mówi o lichwie, jaka się szerzy we wschodniej Galicyi.

W tem jeszcze nie byłoby nic nowego: gdzie są żydzi, mogła być i lichwa,—ale nowością jest to właśnie, że nie o żydach tam mowa. Lichwiarzami mają być właściciele ziemscy, którzy chłopom jakoby pożyczają pieniądze i procent lichwiarski od nich każą sobie spłacać tygodniową robocizną. Przytoczymy tu słowa p. Tarnowskiego, które dosadnie określają tę finansową operację:

„Pożyczony kapitał ma pewną wysokość oznaczoną i stałą, której nigdy nie przechodzi. Wysokość ta w niektórych okolicach dochodzi do maximum 30 zł. r., w innych wynosi 17 albo 16 zł. r. To jest kwota pożyczki, którą chłop bierze i to nazywa „Porecy”. Kto więc wziął taką porecę, ten obowiązany (i pod tym warunkiem ją dostaje) do zwrotu kapitału, a prócz tego do odrabiania w procencie jednego dnia w tygodniu, aż dopóki kapitału nie spłaci. Arytmetyka wykazuje, że gdyby dzień zarobny liczyć tylko po 25 centów, tedy wartość tych dni procentowych wynosiłaby 13 reńskich, zatem od 30 zł. r. kapitału chłop płaci 13 zł. r. procentu rocznie czyli prawie 50%, a kapitał stoi! A teraz jeszcze dodajmy, że nie zawsze chłop w ciągu jednego roku pożyczone pieniądze odda, a jeżeli odrabia procent przez lat dwa lub trzy, ile razy wziętą pożyczkę zapłaci?”

Przedstawimy dalej w jaskrawych barwach haniebną taką lichwę, dodaje wreszcie: „I gdyby to indywidua tylko, gdyby wyjątki, gardzilibyśmy ludźmi nie martwiąc się zbytecznie rzeczą, ani o niej mówiąc. Ale to zaraza, która się szerzy, to szkaradny trąd, który się jednym od drugich udziela

i zaraża całe okolice, całe powiaty we wschodniej części naszego kraju, tak że w niektórych wyjątkami są ludzie uczciwi, którzy w gospodarstwie swoim „porecyami“ pomagają sobie nie chcą“.

Tak stanowcze oskarżenie i zarazem bezwarunkowe potępienie publiczne całej części kraju, wywołało powszechne oburzenie. Obwiniona zaś strona nie tylko zaczęła energicznie się bronić ale zarazem i napastować autora artykułu, co najmniej, o lekkomyślność i zupełną nieznajomość rzeczy i stosunków, o których pozwala sobie wyrokować. Dzienniki zasypane zostały odezwaniami ze wszystkich okolic Wschodniej Galicyi; odezwy te, z rozmaitych powiatów i towarzystw gospodarskich nadsyłane, zaprzeczają bezwarunkowo istnieniu nawet nazwy rzeczy „porecy“ w podanem przez p. Tarnowskiego znaczeniu, o której, jak powiadają, dopiero z artykułu jego dowiedzieli się; wzywają go o wrócenie im tak ciężko przez siebie obrażonego honoru—wyróżnieniem okolic zarażonych tym trądem i osób dopuszczających się tak haniebnego czynu, ażeby winnych wyłączyć mogli ze swego grona, albo też jeżeli zarzut lichwiarstwa nie tyce się ich okolic, żeby mogli stanąć czystymi w obec opinii kraju. Zapytują go czem się to dzieje, że owe tak straszne nadużycia odkryte przez niego teraz dopiero, nie zostały dotąd spostrzeżone i wytknięte szlachcie przez najzawziętszych jej wrogów? Bystre ich oko nie dopatrzyło dotąd tej demoralizacji; w żadnym zgromadzeniu przedwyborczem nie podniósł się głos skargi lub zarzutu podobnego lichwiarstwa nie tylko przeciwko ogółowi ale nawet pojedynczym osobom.

Niektóre z tych odezwy, napisane bardzo ostro, obwiniają po prostu p. Tarnowskiego o oszczerstwo. Spodziewano się, że z kolei obwiniony autor zechce albo poprzeć słowa swoje dowodami autentycznymi, albo złagodzi, osłabi ich znaczenie albo wreszcie cofnie je ostatecznie. Dotąd jednak ciągle czytamy w dziennikach „Głosy z kraju do p. Tarnowskiego“.—ten zaś zachowuje milczenie zupełne. Powiadają, że trzech obywateli wschodniej Galicyi udało się osobiście do Krakowa w celu wyjaśnienia tej całej sprawy, jedynem jednak następstwem tego ich kroku był list otwarty autora artykułu, do p. Hoppena, posła do Rady Państwa, w którym p. T. cieszy się, że jego słowa wywołały tak wielkie oburzenie, będące najlepszym dowodem, iż złe nie jest jeszcze tak ogólnem i zakorzenionem, jak mówiono; że gorzej byłoby, jeżeliby zarzuty jego spotkały się z milczeniem i obojętnością... że gromił w zarodzie złe mogące wyrosnąć w kłeskę publiczną i t. d.“

Milczenie P. Tarnowskiego okazało się bardzo dobrą taktyką; — znużył niem przeciwników; ci zaś znużyli publiczność, powtarzając na różne głosy ciągle jedno i to samo — i okryli się pewnym rodzajem śmieszności, miotając się na scenie i rzucając zajadłe na nieprzyjaciela, który za kulisami spokojnie przysłuchuje się ich krzykom i odgrózkom.—Dają się już nawet słyszeć głosy, z cicha utrzymujące, że autor artykułu nie o wiele się omylił — raczej w ilości niż w jakości; że uniesiony szlachetnem oburzeniem tylko za daleko je posunął, potępiając ogół; że niektóre ustępy jego artykułu grzeszą, co prawda, przesadą ale, że haniebna lichwa, o jakiej mówi, w części przynajmniej, rzeczywiście istnieje; że wreszcie, co najważniejsza, podczas ostatniej sessyi sejmowej, tak głośno zajmowano się tą sprawą w kole deputowanych, iż nawet o wytoczeniu jej przed Izbę była mowa.

Tak więc, jak widzimy „porecy“ do rzędu bajek zejść nie mogą. P. Tarnowski dopiął celu, do którego zmierzał — obudził i oburzył współziomków swoich, — wielką zaś odwagą moralną, której dał dowód wzywając ich tak otwarcie przeciw sobie, płynąć mogła jedynie z głębokiego przekonania, iż spełnia obowiązek obywatelski. To wszystko uwzględnić nakazuje wady, jakie w artykule p. T. dostrzedzby można.

Cała ta sprawa przykre jednak sprawia wrażenie, — tembardziej, że jak zwykle w podobnych razach umiarkowanie dalekiem jest od stron walczących. Słowa obraźliwe, ciężkie padają jak gromy, — rozgłos zaś i ważność zajścia wyrzaje je dobrze w pamięć i nie tak łatwo zatrzeć pozwoli. Trzecia strona wypowiedzona także została na plac boju.

Korzystając z okoliczności niektórzy „protestujący“ przedstawili chłopów jako ciemiężycieli swoich, wyzyskujących smutne położenie większych właścicieli, w czasie zbiorów, do których potrzeba robotnika; — nakładających ciężkie warunki za swoją pracę a co większa nadużywających dobrej wiary i po prostu, z największą bezczelnością przywłaszczających sobie cudze, pańskie dobro. — Zawsze i wiecznie to samo: uniewinnianie siebie za pomocą grzechów cudzych — a i to jeszcze niewiadomo, o ile te grzechy są rzeczywistymi a nie urojonemi!? Wieczne skargi na skutki, z pominięciem ich przyczyn; zrzućcie własnej długoletniej winy na starą ciemnotę; zgryźliwe szarpanie się i beznadziejne — zamiast głębokiego zrozumienia rzeczy i wytrwałego, spokojnego działania, którego skutki powolne być mogą, ale z pewnością dobre i niezawodne być muszą.

W. S. L.

RUCH MUZYCZNY,

(Dokończenie).

Przez nie srebrną tęsknych śpiewów Szopena najłatwiej nam będzie przejść do koncertu pana Wilhelmja. — Znakomity ten skrzypek, którego talent, w ciągu lat dwóch ubiegłych od ostatnich jego występów w Warszawie, — spotał i doszedł do ostatecznych krańców doskonałości, — zachwycał nas znowu grając Szopena w sposób prześliczny, i zdolny prawie pogodzić nas z tego rodzaju sztucznymi transkrypcjami. Jakkolwiek nie można zaprzeczyć, że rzecz każda najwłaściwiej przystaje do instrumentu, na jaki jest napisana, jakkolwiek szczególnie dzieła nieśmiertelnego naszego ziomka osobliwszą potęgą uroku fortepian obdarzają, przecież niepodobna nie być rozbrojonym, słysząc np. transkrypcję na skrzypce romansu z koncertu *E moll* Szopena. — Podwójne tony, tercye, sexty i t. d. tak szczególny wdzięk i czystość u Wilhelmjego posiadają, że tworzy się jakby coś zupełnie nowego. Wprawdzie skrzypce perlności fortepianu oddać nie są w stanie, ale ich legato, ich śpiewność są znów zupełnie specjalnymi przymiotami, które nowem niejako światłem utwór znany oświecają. — Można by to przyrównać, i zdajemy się, bez przesady, do białego marmuru posagu, oświeconego łuną bengalskich ogni. Mniej spokoju, a więcej ciepła, mniej majestatu, więcej namiętności. W ostatnich taktach np. nocturna z tonu des major, wielka septyma *d cis* (nocturn bowiem, jak również i romans, przełożony jest do dogodniejszej dla skrzypców tonacji *d major*) dodana zresztą przez Wilhelmjego, jęczy tak przejmująco, że nigdy podobnie plastycznie fortepian nie przedstawi boleści. — Nieporównany, wyłączny jakis urok ma ton Wilhelmjego; takiej dzwiczności nie zdarzyło się nam słyszeć nigdy, nie wiemy nawet, czy ją Vieuxtemps posiadał, ów niegdyś król skrzypków pod względem tonu. — Zrobimy tu mimochodem uwagę, że ci, co chcieli wytłomaczyć sobie osobliwszy urok tego tonu przez samą dobroć instrumentu, na którym grał artysta — są najzupełniej w błędzie; bo ton jest to przymiot tak ściśle duchowy, tak indywidualny, że nigdy na samych tylko fizycznych, i że tak powiem, pozytywnych przyczynach opierać się nie może. — Ważną jest rzeczą instrument, to prawda — ale z tego samego instrumentu, każdy artysta inny ton wydobydzie — dowód tego najlepszy mamy na fortepianistach.

Jako wykonawca pierwszej szczególniejszej części koncertu Mendelssohna, Wilhelmj wniósł się, zdaniem mojem, do niedościgłej potęgi. — Gra jego szeroka, jedrna, patetyczna, wyborne tu znalazła pole do rozwinięcia się. — Finale potrzebujące więcej lekkości, niezupełnie odpowiada jego stylowi — co nie przeszkadza, że wykonane było po mistrzowsku. Fantazja Hillera — powiemy bez udawania — nie podobna nam się. — Mądre to i nie więcej — a już jeżeli jaki instrument może grać dzieła suche i tylko mądre, — to nie skrzypce. One potrzebują śpiewać i mó-

wić ciągle, ale nie zaciękać się w formach, przystępnych jedynie dla inteligencji—

Oddawszy tym sposobem należny hołd gościom, zwróćmy się znowu na niwę własną, która pod względem koncertowym kilka świeżych wspomnień przedstawia. — Nie idąc torem zbyt już może niewyrozumiałych recenzentów, powiem że ogólne wrażenie z tych koncertów jest mi miłe i że niepodobna wymagać, aby estrada dawała nam konieczne same zdumiewające jakieś znakomitości. — Jeżeliby jeszcze można być surowszym dla występów instrumentalnych, to niezawodnie inaczej się rzecz mieć powinna, gdy mówimy o koncertach wokalnych, tak nadzwyczaj u nas rzadko się przytrafiających. — Dziś, gdy w całej Europie prawie niema pierwszorzędnych śpiewaczek, powinniśmy ze szczerem uznaniem popierać wystąpienie artystek miłujących sztukę i przedstawiających jej dzieła starannie i z godnością. — Niech mi tyle przynajmniej wolno będzie powiedzieć z powodu koncertu panny Maryi Szlezycgier, w którym sam drobny wzięwszy udział, zapomnieć muszę, lubo z wielkim żalem, o roli recenzenta. — Natomiast z podwójną gorliwością zajmę się koncertowymi wystąpieniami dwóch młodych fortepianistek z Warszawy.

O pierwszej z nich, pannie Jakubowicz, tyle się da powiedzieć: Talent to niezaprzeczone, ale o przyszłości jego wyrokować dziś trudno. — Przy tak ogólnie rozwiniętej potędze studyów fortepianowych, — czemuż dziś jest mechanizm, choćby nawet niepospolity? Niezmiernie, tylko środkiem, warunkiem koniecznym ale nie jedynym. Ducha wlać w mechanizm potrzeba; a to rzecz nadzwyczaj trudna, potrzebująca i własnych zasobów duchowych i umiejętnego kierunku. Panna Jakubowicz swym koncertem dowiodła, że materiał techniczny posiada istotnie nader zajmujący — wielkie nawet trudności pokonywała swobodnie, lubo i nie bez wady. Często się łokieć ruszał niepotrzebnie, szczególnie przy trudniejszych przejściach oktawowych. Tryle, biegniki, skoki nawet, wykonywane były z wprawą i pewnością. Ale za to pod względem duchowym ubóstwo wykonania było tak wielkie, że recenzja staje się nawet niemożliwą. Potrzeboby tu za wiele i za długo pisać, choćby np. tylko o *Larghetto* Szopena — trzeba by wyczerpać wszystkie poetyczne intencje autora, których panna J. nie uwzględniła, trzeba by mówić o wdzięku dotknięcia, o frazowaniu, o stylu, o tyłu i tak ważnych przedmiotach — a wszystko to mogłoby nie wydać owocu, bo aby tyle braków zapełnić, trzeba koniecznie studyów, i studyów długich i umiejętnie stopniowanych, jedyną więc radą, najlepszą, najsumienniejszą, jaką dać możemy młodej debutantce, jest ta, jaką pewien doktor dał damie, zapytującej go w towarzystwie o ratunek w skomplikowanej chronicznej chorobie: „Niech pani się poradzi doktora!“.

— I nawet śmiałym radzić, aby kuracja nie trwała mniej jak trzy lata....

Inne zupełnie zdanie wyrzeczemy o pannie Więckowskiej. Młoda wirtuozka swoim tegorocznym koncertem dała dowody tak wielkiego postępu, wykażała tak piękny artystyczny materiał, że chętnie wejdzmy w szczegóły, by dopomóc pannie W. wedle naszych sił i możliwości do dalszego kształcenia się w swym zawodzie.

Chorobę dostrzegliśmy i tutaj, ale nie tak skomplikowaną, by jej kilka ogólnych wskazówek przy sumiennej pracy wyleczyć nie mogło. — Lecz nim o tej ujemnej stronie pomówię, zaznaczmy strony dodatnie — świadomość o nich powinna być dla panny W. najlepszą zachętą do wytrwania. — Młoda artystka ma przedewszystkiem *ton* piękny — idący z duszy, i — co zawsze idzie w parze — inteligencję. — Mechanizm jest dla panny W. środkiem, nie celem; we wszystkich granych przez siebie utworach zło-

żyła tego dowody. Jeśli się nieraz w pojęciu omyliła — to zawsze ceniemy je nierównie wyżej niż barbarwość. — Mechanizm panny W. jest wyborny, sumiennosc wielka — brawura przytem niepospolita. — Najlepiej z całego koncertu wykonane były wariacje Beethovena i Fantazja Węgierska Liszta. Co zaś wyszło najgorzej — zaraz o tem powiem: wszystkie bowiem niedostatki i braki z jednej głównie pochodzą *choroby* — ją zniszczywszy, zniszczymy główny zaród złego.

— Jakież jej nazwisko? *Maniera*. Cóż to jest maniera w sztuce?

Historja nam to bardzo łatwo objaśni. Zwykle wielkie genjusze przynoszą z sobą silną i nową indywidualność. — Ta indywidualność promieniejąc z ich dzieł, rozsięwa blask na wszystkie strony. — Dla uczeni, zbliżonych do nich, styl mistrzów przez czas długi, niekiedy przez życie całe, bywa jedyną modłą doskonałości. — Tak Rafael, jak Szopen, tak Tycjan jak i Liszt, ciągną za blaskiem swej gwiazdy niezliczone gromady satellitów. — Są to *talenta* — jednostronnie w sztukę patrzące — niezdolne się wznieść do ogólniejszych o niej pojęć — i odtwarzające w swych dziełach ciągle jedne i te same typy piękna. — Ta jednostronność — to maniera.

To samo, cośmy tu powiedzieli o twórcach, jeszcze bardziej stosuje się do wykonawców. — Iluż potężna i wzniosła gra Liszta wywołała naśladowców, myślących w naiwności swego ducha, że dość jest wysoko ręce podnosić, fortepiany rozbijać — ba, nawet włosy długie w tył zarzucać, aby wstrząsać massy! — I Szopen miał lub ma swoich manierzystów — ma ich i Rubinstein; — któremu z tych trzech mistrzów, i jaką drogą, panna W. przypisać może swoją manierę, nie badam — to pewna, że każdy z tych mistrzów używał w grze swojej często i z niesłychanym powodzeniem, sposobu grania zwanego *tempo rubato*. — Jak wiadomo, w ustępach granych *rubato*, ścisłość taktu niejako się chwieje, *ale nie znika zupełnie*. — Co więcej, o sposobie grania *rubato*, została nam nadzwyczaj cenna tradycja, w znakomitem dziele Filipa Emanuela Bacha, napisanem sto kilkadziesiąt lat temu, p. t. „*Versuch ueber die wahre Art, Klavier zu spielen*“. — Powiada on (str. 134 i 135, wydanie Berlińskie z r. 1853) że przy tem *rubato*, tylko melodia powinna odstępować od regularności taktu, to przyspieszać go, to zwalniać, — ale za podstawę tej chwiejności służyć powinien bas, czyli akompaniament, grany równo i w takt. — Tak samo pojmował *rubato* i Szopen. Tymczasem panna W. grając prelud *Des major* Szopena, robiła *rubato* w akompaniamencie *bassowym*, przez co uczyniła kompozycję całkiem niezrozumiałą i odebrała jej największy wdzięk, którym właśnie jest regularne i monotonne spадanie w równych odległościach dźwięku *bassowego* (as - gis) przejmujące uczuciem tęsknej zadumy, a w minorze zgrozą i przerażeniem.

Jako odcień graniczący z grą *rubato*, uważał Szopen *passażę* i tak zwane *melismata*, które wolniej zaczynał, a przy końcu przyspieszał. — Zasadę tę rozciągnąć można niekiedy i do niektórych melodi, co robi nieraz Rubinstein, i co nawet do pewnego stopnia właściwym jest w takiej kompozycji, jak

jego *Melancolie*, ale gdyby każdy temat grać w ten sposób, muzyka stałaby się nienaturalną i jakby wykrzywioną. — Grymas zastąpiłby prawdę i prostotę. — Tę właśnie manierę fałszywą zbyt często wprowadza panna W. do gry swojej. — Barkarolla Szopena mniej na niej traciła — ale np. Sonata Hellera zupełnie się stała przez to niezrozumiałą, w kwartecie zaś Beethovena, wiele ustępów było rażąco nieprzyjemnych, np. drugi temat w pierwszym allegro, oraz zejście do głównego tematu w środku Adagia. — Tej więc wady, tego jednostronnego na sztukę poglądu, niech się panna W. pozbyć usiłuje — niech rozpatrując się z uszanowaniem w dziełach mistrzów, stara się wtajemniczyć w ich ducha i nie przystosowuje do każdego z nich jednej i tej samej formułki — wtenczas droga przyszłości młodej artystyki się rozjaśni — i mogą na niej zakwitnąć kwiaty prawdziwej poezji, z których się i wieniec laurowy z czasem uwije!

Jan Kleczyński.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się prospekta na

Dziela **WINCENTEGO POLA**

NAJLEPSZĄ

METODĘ JĘZYKA FRANCUZKIEGO

w Listach.

Prenumeratę przyjmuje księgarnia Michała Glücksburga (Wydawcy Bluszczu) w Warszawie przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 7 (411).

Nakładem Księgarni S. ARCTA w Lublinie

wyszła:

MAŁA GRAMATYKA

JĘZYKA POLSKIEGO

wyłożona przez

Augusta Jeskiego

wydanie 2-gie przerobione i znacznie pomnożone

cena (już w oprawie) kop. 45, z przesyłką kop. 55.

Skład Główny w Warszawie: w księgarni i składzie Nut muzycznych Michała Glücksburga przy ulicy Krakowskie Przedmieście, w domu JW. Hr. L. Krasieńskiego Nr. 7 (411). Dzieło to znajduje się również we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się 1-szy arkusz powieści: **Zerwane więzy**.

SPROSTOWANIE

omyłki w prospekcie na rok 1875

Zbiorowe wydanie dzieł Józefa Ign. Kraszewskiego wychodzić będzie przez cały rok 1875 i ukończonem zostanie nie jak w prospekcie wspomniano d. 1 października, lecz d. 31 grudnia 1875 r.

Cena prenumeraty zatem *Bluszczu* z dodaniem dzieł Kraszewskiego na r. 1875 wynosi jak dotychczas Rs. 17 rocznie, a nie jak w prospekcie wydrukowano Rs. 15 kop. 25.

TREŚĆ: Najpiękniejsze piosnki (poezja), przez El-y. — Stanowisko Jerzego Eliot, przez M. Ilnicką. — Historia o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie, powieść, (dokończenie), przez J. I. Kraszewskiego. — Korespondencya zagraniczna, przez W. S. L. — Ruch muzyczny, (dokończenie), przez Jana Kleczyńskiego.

